James H. Schmitz

Nowicjuszka

(Novice)

`

Analog, June 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Nowicjusz, to ktoś, kto jest niedoświadczony – ale to wcale nie znaczy, że niekompetentny. Ani głupi!

Ktoś jeszcze, pomyślała Telzey Amberdon, oprócz niej i TT był w ogrodzie. Nie chodziło tu, oczywiście, o ciocię Halet, która siedziała w domu, czekając na przybycie jakiegoś wczesnego gościa, ani o żadnego ze służących. Ktoś, lub coś, musiało się kryć w gąszczu otaczających Telzey wspaniale kwitnących zarośli, rodzimych dla Jontarou krzewów.

Nie potrafiła znaleźć żadnego innego wytłumaczenia dla bojaźliwego zachowania Tik-Tak – ani też, żeby być tak do końca uczciwą, sposobu w jaki funkcjonowały jej własne nerwy, wyraźnie napięte tego ranka, bez żadnego widocznego powodu.

Telzey wyrwała źdźbło trawy, wsunęła koniuszek między wargi i zaczęła go delikatnie żuć, ze skupioną i zamyśloną twarzą. Zazwyczaj nie wykazywała skłonności do przewrażliwienia na tle nerwowym. Miała piętnaście lat, inteligencję na poziomie geniuszu, była opalona na brązowo i w swoim kostiumie plażowym wyglądała całkiem nieźle. Była najmłodszą latoroślą rodziny z Orado, należącej do najbardziej prominentnych na tej planecie, studentką drugiego roku prawa na jednej najlepszych szkół w całej Federacji Ośrodka. Jak zawsze ją informowano, jej fizyczne, umysłowe i emocjonalne zdrowie, było doskonałe. Częste podkpiwania cioci Halet, na temat nieodłącznej niestabilności geniuszy, można tutaj zignorować; stabilność samej Halet wydawała się w najlepszym przypadku wątpliwa.

Jednak żadna z tych rzeczy nie czyniła obecnej dziwnej sytuacji, mniej nieprzyjemną.

Telzey już dużo wcześniej, jeszcze w nocy, w niecałą godzinę po ich przyjeździe z portu kosmicznego do domu, który Halet wynajęła w Port Nichay, na wakacje na Jontarou, zdecydowała, że z tego mogą wyniknąć kłopoty. Telzey, razem z Tik-Tak, niemal od razu położyła się do snu w swojej sypialni na drugim piętrze domu, ale ledwie zdążyła zasnąć, coś ją obudziło. Przewracając się na drugi bok, odkryła, że TT wspięła się przednimi łapami na parapet okna, bez przerwy wpatrując się w dół, na ogród. Wielka kocia głowa rysowała się wyraźnie na tle usianego mgiełką gwiazd nocnego nieba.

Telzey, w tym momencie nadal tylko zaciekawiona, wygrzebała się z łóżka i dołączyła do TT przy oknie. Nie było za nim nic szczególnego do oglądania, a jeżeli nawet zapachy i ciche odgłosy nocy, dolatujące z ogrodu, nie były dokładnie takie jak te, do których była przyzwyczajona, to trzeba było pamiętać, że Jontarou, pomimo wszystko była obcą planetą. Czego innego można było tutaj oczekiwać?

Ale kiedy Telzey położyła rękę na umięśnionym grzbiecie Tik-Tak, poczuła, że jest on sztywny i napięty. Zaś poza nieobecnym szturchnięciem głową o ramię Telzey, TT nie próbowała zwrócić na nią swojej uwagi, ani oderwać się od tego, co ją tak bardzo zaabsorbowało. Jednocześnie z jej futrzastego gardła wydobył się niski, złowrogi hurgot, na wpół gniewny, na wpół pytający. Telzey zaczęła czuć się trochę nieswojo. Udało jej się w końcu zabrać Tik-Tak od okna, ale żadna z nich, przez resztę nocy, nie spała dobrze. Przy śniadaniu, ciocia Halet poczyniła jedną ze swoich, charakterystycznych dla niej, niemiło-słodkich uwag.

— Wyglądasz na zmęczoną, moja droga – tak, jakbyś znajdowała się w stanie jakiegoś silnego napięcia umysłowego… co oczywiście może być prawdą — dodała z zamyśleniem. Ze swoimi blond-złotymi włosami, upiętymi wysoko na głowie, cerą w brzoskwiniowo-śmietankowym kolorze, Halet wyglądała świeżo, jak stokrotka… dosyć złośliwa stokrotka. — Czyż więc nie miałam racji, nalegając na Jessamine, że potrzebujesz wakacji z dala od tej straszliwej intelektualistycznej szkoły? — Uśmiechnęła się łagodnie.

— Absolutnie — zgodziła się z nią Telzey, z trudem powstrzymując się przed ciśnięciem w młodszą siostrę swojego ojca, właśnie nabranym na łyżeczkę żółtkiem. Ciocia Halet często wzbudzała w niej takie pomysły, ale Telzey obiecała mamie, że w miarę możliwości podczas wyprawy na Jontarou będzie unikać poważniejszych starć. Po śniadaniu poszła do ogrodu na tyłach domu, razem z Tik-Tak, która natychmiast powędrowała w zarośla, zaszyła się w nich i nigdzie jej nie było widać. Wydawało się to wszystko składać w jakąś jedną całość. Tylko jaką?

Telzey przez pewien czas spacerowała po ogrodzie, nieustannie utrzymując przykrywkę zainteresowania kwiatami z Jontarou i kolorowymi owadami. Od czasu do czasu doświadczała jakichś lekkich dreszczy alarmu, ale nie odkryła żadnych śladów ewentualnego czającego się intruza, ani też TT. Tak więc, na godzinę, albo nawet na dłużej, po prostu usiadła w trawie, ze skrzyżowanymi nogami, czekając spokojnie, aż Tik-Tak pokaże się sama, z własnej woli. Ale ten wielki głupol, nie zrobił jej tej przyjemności.

Telzey podrapała się po opalonym kolanie, groźnie spoglądając na widoczne za płotem ogrodu drzewa uliczne Port Nichay. Strach w sytuacji, gdy nawet nie można było stwierdzić, że jest się czego bać, wydawał się być czymś kompletnie idiotycznym! A w dodatku, z każdą chwilą zaczynało w niej narastać kolejne nonsensowne uczucie. Sprowadzało się ono w sumie do tego, że powinna zrobić jakąś nieznaną, ale konkretną rzecz…

Prawdę mówiąc, to Tik-Tak chciała, aby zrobiła tę konkretną rzecz!

Kompletny idiotyzm!

Gwałtownie Telzey zamknęła oczy, mocno pomyślała: „Tik-Tak” i czekała – nagle bardzo rozgniewana na siebie samą, że aż tak dalece poddaje się swoim fantazjom – tak jakby cokolwiek mogło się wydarzyć.

Tak naprawdę, nigdy jeszcze nie udało jej się wyraźnie stwierdzić, że dzięki jakiejś metodzie przekazywania symbolicznych obrazów myślowych, potrafi choćby w przybliżeniu dowiedzieć się, co myśli albo czuje TT. Pięć lat temu, kiedy znalazła Tik Tak – wtedy dziwnie wyglądającego, i jeszcze dziwniej zachowującego się, kociaka – w lesie, w pobliżu letniego domu Amberdonów na Orado, Telzey wydawało się, że tak jest. Być może jednak, wrażenie to nie było niczym więcej, niż tylko grą jej barwnej wyobraźni; a potem, kiedy wyjechała do szkoły prawniczej i coraz bardziej absorbowały ją studia, niemal zapomniała o całej tej sprawie.

Dzisiaj, może dlatego, że była tak zaniepokojona zachowaniem Tik-Tak, zwyczajna reakcja umysłu nadeszła nader szybko. Ciepłe światło słoneczne, przesączające się przez jej zamknięte powieki niemal natychmiast przygasło i zastąpiła je wewnętrzna ciemność. Potem w tej ciemności pojawił się obraz Tik-Tak, siedzącej niedaleko niej obok otwartych drzwi w kamiennym murze, a jej zielone oczy wpatrywały się w Telzey. Telzey odniosła wrażenie, że TT zaprasza ją, aby przeszła przez drzwi i z jakiegoś powodu, ta myśl ją przeraziła.

I znów, reakcja była natychmiastowa. Scena z Tik-Tak i drzwiami znikła i Telzey poczuła, że stoi w kompletnie ciemnym pomieszczeniu, zdając sobie sprawę, że jeśli zrobi choćby jeden krok przed siebie, coś, co czeka tam w ciszy, dosięgnie jej i ją pochwyci.

Oczywiście, wycofała się… i w tej samej chwili poczuła, że ciągle siedzi z zamkniętymi oczyma, na trawie ogrodu domu letniskowego, a światło słoneczne zalewa jej powieki.

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół siebie. Serce waliło jej szybkim rytmem. Całe to doświadczenie, nie trwało dłużej niż cztery czy pięć sekund, ale było niesamowicie sugestywne, jakby cały skompresowany nocny koszmar. Żaden z jej wcześniejszych eksperymentów, dotyczących prób nawiązania łączności myślowej z TT, nie był do tego podobny.

Należy mi się, pomyślała Telzey, za próby takich idiotycznych dziecinnych wyczynów, w takiej chwili. Od razu powinna zabrać się za metodyczne poszukiwania tego głupiego zwierzaka – TT musiała być gdzieś w pobliżu – znaleźć miejsce w którym się schowała, a następnie uczepić się jej, dopóki ten nonsens w ogrodzie nie zostanie wyjaśniony! Pomimo zdolności TT zlewania się z tłem, zazwyczaj można ją było zauważyć, jeżeli zwróciło się baczną uwagę na układ cieni. Telzey rozpoczęła skrytą obserwację otaczających ją, pokrytych kwiatami krzewów.

Trzy minuty później, nieco po prawo, w miejscu gdzie znajdowało się zbocze sześciostopowego nasypu kolejnej terasy ogrodu, jej oko nagle pochwyciło zarys sylwetki TT. Tik-Tak leżała na brzuchu, z głową lekko uniesioną ponad łapami, zupełnie bez ruchu. Wyglądała jak przezroczysta zjawa, rozciągnięta wzdłuż ściany terasy, ledwie dostrzegalna, nawet gdy spoglądało się bezpośrednio na nią. Była to przekonująca iluzja, ale to, co wydawało się kamieniami, liśćmi drzew i pocętkowaną plamkami światła słonecznego ziemią, widocznymi w obrębie widmowego zarysu sylwetki, było jedynie wzorcem kamuflażu, jaki TT przybrała w tej chwili na futrze.

Potrafiła zmienić go zupełnie, w mgnieniu oka, aby dostosować się do innego tła.

Telzey wskazała na nią oskarżycielsko palcem.

— Widzę cię — oznajmiła, czując napływ ulgi, która wydawała się być równie niespodziewana, jak cała reszta tej sprawy.

Zjawa skręciła jedno ucho w potwierdzeniu, zarys głowy przesunął się, kiedy zakamuflowany pysk odwrócił się w stronę Telzey. Potem, powoli otworzyła się pozbawiona od wewnątrz kamuflażu, wyraźnie widoczna paszcza, prezentując czerwony język i białe kły Tik-Tak. Pysk rozciągnął się w szerokim ziewnięciu, zamknął się z trzaskiem szczękających o siebie zębów i ponownie stał się niewidoczny. Następnie para pokrytych kamuflażem powiek uniosła się z okrągłych, świecących zielonym blaskiem oczu TT. Oczy popatrzyły przez trawnik na Telzey.

Telzey powiedziała z irytacją w głosie:

— Skończ już z tym błaznowaniem, TT!

Oczy zamrugały i nagle po głowie Tik-Tak zaczął spływać jej naturalny spiżowo-brązowy kolor. Popłynął następnie wzdłuż szyi, przez całe jej ciało, aż do łap i ogona. Na tle ściany terasy, tak jakby w jednej chwili materializując się z nicości, pojawił się dwustufuntowy, gibki, smukły kot o długim ogonie… albo kotopodobne stworzenie. Rzeczywistego pochodzenia TT nigdy nie udało się ustalić. Najbardziej prawdopodobne przypuszczenia, odnośnie tego, co Telzey znalazła pięć lat temu, bawiąc się w lesie, twierdziły, że zwierzę było albo bio-konstrukcyjnym eksperymentem, który uciekł z jakiegoś prywatnego laboratorium na Orado, albo zaginionym pupilkiem jakiegoś marynarza, przywiezionym na stołeczną planetę z jednej z odległych kolonii położonych poza Ośrodkiem. Na czubku łba TT wyrastał duży, puszysty pompon z białego futra, który na innym zwierzęciu mógłby wyglądać zabawnie, ale nie na niej. Jeszcze nawet jako tłuściutki kociak, zwisający na ścianie głową na dół na dużych przyssawkach swoich łap, TT wykazywała się ogromną godnością.

Telzey przyglądała się jej badawczo, czując jak jej ulga ponownie rozpływa się w nicość. Tik-Tak, zazwyczaj najbardziej spokojny i opanowany z kompanów, zdecydowanie z jakiegoś powodu ciągle była spięta. To wielkie, leniwe ziewnięcie, przed chwilą, poza rozluźnionego odprężenia… wszystko to było zwykłym udawaniem!

— Co cię gryzie? — spytała ze złością.

Zielone oczy spoglądały na nią poważnie, ostrożnie, przez chwilkę wydawały jej się zupełnie obce. I dlaczego, pomyślała Telzey, to stare pytanie, czym naprawdę jest Tik Tak, właśnie teraz musiało znowu zacząć krążyć jej po głowie? Po tym, jak dosyć alarmujące tempo jej wzrostu, w zeszłym roku zaczęło maleć, nikt już nie zawracał sobie tym głowy.

Przez chwilę Telzey przepełniała niesamowita pewność, że odpowiedź na tę całą sytuację znajduje się tuż przed nią, na wyciągnięcie ręki. Odpowiedź, która zdawała się obejmować planetę Jontarou, Tik-Tak i tak bardzo nieprawdopodobny czynnik – jak ciocia Halet.

Pokręciła przecząco głową, zaś niewzruszone zielone oczy TT zamrugały.

Jontarou? Ta planeta leżała poza sferą osobistych zainteresowań Telzey, ale czytała o niej w trakcie podróży z Orado. Spośród wszystkich światów Ośrodka, Jontarou była prawdziwym rajem dla zoologów i myśliwych, gigantycznym rezerwatem zwierząt, jej kontynenty i morza roiły się wręcz od wspaniałej zwierzyny. Na podstawie prawa Federacji, celowo zachowywano ją w stanie pierwotnym, w którym została odkryta. Port Nichay jedyne miasto, a właściwie nawet jedyne zamieszkałe miejsce na Jontarou, było piękne i ciche, usiane ogromnymi, ale elegancko wysmukłymi wieżami, rozdzielonymi od siebie pięciomilowymi strefami pagórkowatych terenów parkowych i połączonymi między sobą tylko nitkami niewidocznych tras lotniczych. W pobliżu horyzontu, ledwie widoczna z ogrodu, wyrastała najwyższa wieża w mieście, zielono-złote iglice Shikari Club, centrum spraw Federacji i aktywności społecznej. Z samochodu powietrznego, który poprzedniego wieczora przewiózł je przez Port Nichay, Telzey widziała sporadycznie ciągnące się wzdłuż zboczy parkowych wzgórz, sznury domów wypoczynkowych, podobnych do tego, wynajętego przez Halet.

Z pewnością w Port Nichay ani w zielonej Jontarou nie mogło być nic złego!

Halet? Ta blond-lala miałby być Machiavellim? Co mogłaby…?

Oczy Telzey zwęziły się z zamyśleniem. Przypomniała sobie pewne nieznaczące wydarzenie – a przynajmniej, wtedy wydawało jej się ono nieznaczące – które miało miejsce tuż zanim liniowiec kosmiczny zadokował, ostatniej nocy. Młoda kobieta, z jednej z sieci wiadomości, poprosiła o wywiad z córką członkini Rady Federacji Jessamine Amberdon. To czasami się zdarzało, i Telzey nie miała specjalnych obiekcji przeciwko rozmowie, dopóki nie zaczął jej drażnić plotkarski upór dziennikarki w drążeniu tematu o „niezwykłego zwierzaka”, którego przywiozła ze sobą do Port Nichay. TT mogła być trochę niezwykła, ale to nikogo nie powinno obchodzić, i Telzey tak jej powiedziała. Wtedy Halet gładko wkroczyła do akcji i zaczęła się rozwodzić w najdrobniejszych szczegółach na temat pojawienia się Tik-Tak, jej zwyczajów i tajemniczych przodków.

Telzey przyjęła, że Halet po prostu próbowała być irytująca, jak zwykle. Jednak teraz, spoglądając wstecz na ten incydent, wydawało jej się, że paplanina między ciotką i dziennikarką, brzmiała w dziwnie wymuszony sposób – niemal tak, jakby obie powtarzały już wcześniej wielokrotnie wypróbowane kwestie.

Wypróbowane, w jakim celu? Tik-tak … Jontarou.

Telzey przygryzła lekko dolną wargę. Wakacje na Jontarou dla nich obu oraz TT, były pomysłem Halet, i to Halet tak się nimi entuzjazmowała, że matka Telzey w końcu namówiła ją, by się zgodziła. Halet, jak w tajemnicy wyjaśniała Telzey Jessamine, czuła się jakby wraz z bratem byli intruzami w rodzinie Amberdon, kwaśno przyjmowała polityczne zaszczyty spadające na Jessamine, a ostatnimi czasy, coraz wyraźniejsze przejawy inteligencji samej Telzey. To zaproszenie, było sposobem okazania przez Halet zmiany uczuć. Czy Telzey nie byłaby taka miła.

A więc Telzey była taka miła, chociaż nie za bardzo wierzyła w zmianę uczuć Halet. Prawdę mówiąc, miała mocne podejrzenia, że ta podróż na Jontarou była jakimś nieczystym zagraniem, wyciągniętym z rękawa przez ciotkę. Umysł Halet często funkcjonował w podobny sposób.

Jak do tej pory nie było żadnych rzeczywistych oznak jakiejś celowej złośliwości z jej strony. Ale wydawało się logiczne, powiązanie między sobą różnych zagadkowych wydarzeń, które ostatnio miały miejsce… Dziennikarka, dosyć natarczywie wyrażająca swoje zainteresowanie Tik-Tak – nietrudno było sobie wyobrazić, że to Halet mogła opłacić ten wywiad. Dalej, niespokojne zachowanie TT podczas ich pierwszej nocy w Port Nichay, i wreszcie nieokreślone lęki i fantazje samej Telzey, związane z ogrodem wynajętego domu.

Te ostatnie były trudne do wyjaśnienia. Ale Tok-Tak i Halet… mogły wiedzieć o Jontarou coś, czego ona nie wiedziała.

Jej myśli wróciły do skutków na wpół poważnej próby, jaką poczyniła, aby zorientować się, czy Tik-Tak „chciała aby coś zrobiła”. Otwarte drzwi? Ciemność, w której coś czekało, żeby ją złapać, jeżeli zrobi choćby jeden krok naprzód? To mogło nie mieć żadnego znaczenia. A może jednak miało?

A więc zachciało ci się popróbować magii, zadrwiła z samej siebie Telzey. Dziecięce zabawy… Jak daleko zaszłabyś na studiach prawniczych, gdybyś prosiła TT o pomoc w rozwiązywaniu twoich problemów?

A więc dlaczego, znowu jej to przyszło do głowy?

Zadrżała, ponieważ zdawało się, że na ogród opadła jakaś dziwna cisza. Spod zbocza terasy obserwowały ją zielone oczy TT.

Telzey poczuła jakby tonęła powoli w zalanym słonecznym światłem śnie, w czymś bardzo odległym od problemów studiów prawniczych.

— Czy powinnam przejść przez drzwi? — szepnęła.

Brązowy cień kota powoli uniósł głowę. TT zaczęła mruczeć.

Imię Tik-Tak zostało zapożyczone, jeszcze kiedy była malutkim kociakiem, ze sposobu w jaki mruczała – na cześć tego rytmicznego, oscylującego dźwięku, zmieniającego się od niskiego tonu do wysokiego, kiedy jej to było wygodne, i często tak zwyczajnego jak dyskretne, nienatrętne tykanie starego zegara. Telzey uświadomiła sobie nagle, że słyszy ten dźwięk po raz pierwszy od ich przybycia na Jontarou. Trwał on mniej więcej kilkanaście sekund, a potem ucichł. Tik-Tak ciągle ją obserwowała.

Zdaje się, że był to wyraz zdecydowanej zgody…

Uczucie sennej nierealności nasilało się, zasnuwając mgłą myśli Telzey. Jeżeli z tymi sprawami komunikacji myślowej nie było nic rzeczywistego, to jaką krzywdę mogą jej zrobić symbole? Tym razem nie powinna dopuścić do tego, by ją wystraszyły. A jeśli coś znaczyły…

Zamknęła oczy.

Światło słoneczne docierające z zewnątrz, natychmiast zanikło. Telzey uchwyciła ulotny kształt drzwi w kamiennej ścianie i w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, że już przez nie przeszła.

Potem, nie znajdowała się już w ciemnym pomieszczeniu, ale stanęła na krawędzi jasności, która zdawała się być pozbawiona cech charakterystycznych i granic, rozciągała się wokół niej, sprawiając podobne wrażenie jak „morze” czy „niebo”. Było to jednak niespokojne miejsce. Odnosiła wrażenie obecności niewidocznych stworzeń, które ze wszystkich stron obserwowały ją i czekały.

Czy była to jakaś inna forma ciemnego pomieszczenia – pułapka zastawiona w jej umyśle? Uwaga Telzey szybko przeskoczyła z powrotem. Znowu siedziała na trawie; światło słoneczne przesączało jej się przez zamknięte powieki, wyglądające jak jakieś zabarwione na różowo kurtyny. Ostrożnie pozwoliła, by jej świadomość powróciła do jasnego obszaru i pozostała w nim. Przeżyła chwilę podekscytowanego uniesienia. Mogła to kontrolować! A więc, dlaczego nie, powiedziała sobie. Pomimo wszystko, te rzeczy dzieją się tylko w jej umyśle!

Dowie się w końcu, co to wszystko ma oznaczać, ale nie ma pośpiechu…

Odniosła wrażenie, jakby gdzieś za nią, Tik-Tak pomyślała:

— Teraz, mogę ci znowu pomóc!

Potem pojawiło się uczucie, jak gdyby coś ją przesuwało, szybko, nieodparcie, do przodu; popychało naprzód i w dół. Jasność wokół niej eksplodowała burzą grzmiących kolorów. W przestrachu usiłowała otworzyć gwałtownie oczy, aby znaleźć się z powrotem w ogrodzie, ale nie udało jej się tego dokonać. Kolory nieustannie huczały wokół niej, jak burza rozemocjonowanych, roześmianych, tryumfalnych głosów. Telzey czuła się jak złapana w środku tego wszystkiego, zawieszona w niewidzialnych pajęczych sieciach. Tik-Tak zdaje się, że była gdzieś w pobliżu i przyglądała się temu. Niewierna, zdradziecka TT!

Umysł Telzey ponownie podjął wysiłek by wykręcić się, wyrwać, i dało to pewien efekt. Nie znalazła się z powrotem w ogrodzie, ale hałaśliwe, wirujące kolory zniknęły, zaś ona teraz miała uczucie, jakby czytała szybko przesuwającą się mikrotaśmę, chociaż w rzeczywistości żadnej taśmy nie widziała.

Taśma, jak sobie uświadomiła, była kolejnym symbolem tego co się działo, symbolem, który łatwiej jej było zrozumieć. Wokół niej było pełno głosów, czy też raczej czegoś co mogło być głosami; na niewidocznej taśmie zdawała się czytać to, co one mówiły.

Wielu mówców, ewidentnie zaangażowanych w szybką, gorącą wymianę zdań, na temat tego, co z nią zrobić. Wrażenia śmigały, przelatując koło niej…

— **P**o co marnować na nią czas? Przecież to oczywiste, że wszystko do czego jest zdolna, to gadanie kiciusia…

— Niekoniecznie; to zwykle pierwszy krok. Dajcie jej trochę czasu!…

— Ale co taki dzieciak — z rozdrażnieniem — może wiedzieć, co miałoby jakąś istotną wartość?

Nastąpiła powolna, rozmyta, pozornie niezgrabna przerwa. Wypełniająca ją zawartość była dla Telzey kompletnie niezrozumiała, ale w jakiś niewątpliwy sposób, była ona zdefiniowana przez myśl Tik-Tak.

Przerwa, spowodowana zatrzymaniem się kręgu mówców, aby mogli zastanowić się nad czymś, co TT dorzuciła pod debatę.

Następnie kolejne wrażenie… wrażenie które wywołało u Telzey dreszcz strachu, natychmiast jak tylko dotarło do jej świadomości. Jego gwałtowna intensywność w jednej chwili odepchnęła symbolizm odczytywania taśmy. Dziki głos zdawał się wręcz huczeć:

— Oddajcie to bezbronne dziecko mnie — niechętne szkarłatne oczy wbiły wzrok w Telzey, gdzieś z pobliża — i niech to się stanie tu i teraz!

Zaskoczony, chaotyczny protest ze strony Tik-Tak, któremu towarzyszył wybuch śmiechu z kręgu. Te typy muszą mieć wspaniałe poczucie humoru, pomyślała kwaśno Telzey. To szkarłatnookie stworzenie przecież absolutnie nie żartowało!

Kolejne wybuchy śmiechu, kiedy krąg pochwycił jej myśl. Po chwili większość towarzystwa doszła do niespodziewanej zgody:

— Ten dzieciak potrafi się uczyć! Nie zaszkodzi nam poczekać… Szybko się dowiemy… Niech…

Taśma się skończyła; głosy rozpływały się; kolory coraz bardziej blakły. Wrażenia, odbierane przez nią do tej pory, w jakiś poplątany sposób – Telzey nie potrafiłaby nawet zacząć go opisywać – raptownie się urwały.

Stwierdziła, że z powrotem siedzi na trawie, wstrząśnięta, wystraszona, z otwartymi oczyma. Tik-Tak stała koło terasy, spoglądając na nią. Nad ogrodem nadal unosiła się aura mglistej nierealności.

Mogło ją gdzieś przerzucić! Nie sądziła, żeby tak naprawdę się stało; ale z pewnością było to możliwe! Albo… Telzey podjęła próbę uporządkowania wszystkiego, co się wydarzyło.

Coś było w ogrodzie. Coś było w jej umyśle. Coś, co było w tym domu, na Jontarou.

Odniosła wrażenie obecności jakichś pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu tych… no cóż, istot. Bardzo niepokojących istot! Lekkomyślnych, dzikich, bezwzględnych… i w dodatku to czerwonookie straszydło! Telzey zadrżała.

Skontaktowały się najpierw z Tik-Tak, jeszcze w nocy. TT rozumiała je lepiej niż ona. Dlaczego? Telzey nie znalazła na to w tej chwili żadnej odpowiedzi.

Potem Tik-Tak wkręciła ją w zgodę na zalanie jej umysłu przez te istoty. Musiał być jakiś bardzo konkretny powód po temu.

Popatrzyła na Tik-Tak. TT odpowiedziała jej spojrzeniem. Nic w myślach Telzey nawet nie drgnęło. Między nimi obiema, nadal nie było bezpośredniej komunikacji.

A więc, w jaki sposób te stworzenia zdołały przebić się do niej?

Telzey zmarszczyła nos. Zakładając, że wszystko co się wydarzyło, było realne, zdawało się oczywiste, że wejścia dostarczyła im gra symboli, jaka nawiązała się między nią i TT. Jej całe, właśnie przed chwilą zdobyte doświadczenie, miało formę symboli, tłumaczących, cokolwiek się wydarzyło, w coś, co byłaby w stanie świadomie uchwycić.

— Gadanie kiciusia — w taki właśnie sposób te stworzenia nazwały wykorzystanie symboli, wyglądało to na pogardliwe określenie. Mniejsza o to, powiedziała sobie Telzey, zgodziły się przecież, że jest w stanie się uczyć.

Powietrze nad trawą zdawało się migotać. Znowu odniosła wrażenie odczytywania słów z szybko przesuwającej się i nie do końca widocznej taśmy.

— Jesteś uczona i cały czas się uczysz — wydawało się jej, że przeczytała. — Problem polegał tylko na tym, czy w ogóle będziesz w stanie osiągnąć choćby częściowe zrozumienie, tak jak twierdziła twoja przyjaciółka. Ponieważ byłaś, cała reszta tego co można zrobić, zostanie zrealizowana bardzo szybko.

Przerwa, a następnie z leciutką aprobatą:

— Masz całkiem nieźle ukształtowany umysł, dzieciaku! Dziwny i chwilami mało zrozumiały, ale dobrze ukształtowany…

Jedna z istot, i to dosyć przyjazna – a przynajmniej nie nieprzyjazna. Telzey uformowała pierwsze zapytanie myślowe.

— Kim jesteś?

— Już niebawem się dowiesz.

Migotanie ustało, jak sobie uświadomiła, i pytanie musiało chwilowo zostać odłożone na bok. Znowu popatrzyła na Tik-Tak.

— A czy ty możesz do mnie teraz mówić, TT? — spytała bez słowa.

Uczucie niezdecydowania.

— Gadanie kiciusia! — To było wrażenie, które po chwili uformowało się z wyraźną trudnością. Było niezdarne, badawcze, ale niewątpliwie pochodziło od TT. — Ja też dopiero się uczę, Telzey! — TT wydawała się na wpół zaniepokojona i na wpół rozgniewana. — My…

Do uszu Telzey dotarł ostry dźwięk dzwonka, rozpraszając cienie wrażeń myślowych. Podskoczyła lekko i opuściła wzrok na nadgarstek. To był sygnał jej naręcznego komunikatora. Przez chwilę wydawało jej się, że wisi, balansując między światem, w którym niewidoczne, niebezpiecznie brzmiące istoty mówią do niej „dzieciaku” i gdzie TT uczy się mówić, oraz drugim, zwyczajnym światem, w którym komunikatory na nadgarstkach dzwonią od czasu do czasu, w rzeczowy sposób. Przemieszczając się z powrotem na stronę bardziej zwyczajnego świata, nacisnęła przycisk komunikatora.

— Tak? — powiedziała. Jej głos zabrzmiał ochryple.

— Telzey, moja droga — zamruczał z głośnika cukierkowo-słodki głos Halet, — czy mogłabyś już wrócić do domu? Czekamy w salonie. – Mamy gościa, który bardzo by się chciał z tobą zobaczyć.

Telzey zawahała się, zwężając oczy. Gość Halet chciał się spotkać z nią?

— A z jakiego powodu? — spytała.

— Ma ci, moja droga, coś bardzo ciekawego do powiedzenia — Na chwilę w jej głosie błysnęło ostrze tryumfalnej złośliwości, znikając ponownie w mamroczącej słodyczy. — Tak więc, proszę cię, pośpiesz się!

— Dobrze. — Telzey wstała. — Już idę.

— Świetnie, moja droga! — Głośnik zamilkł.

Telzey wyłączyła urządzenie, zauważając, że w międzyczasie Tik-Tak postanowiła zniknąć.

Przeskoczyła? Ruszając w stronę domu, zastanawiała się. Było oczywiste, że Ciocia Halet przygotowała jakąś nieprzyjemną niespodziankę, którą chciała zwalić na jej głowę, co wykraczało tylko nieznacznie poza zwykłe zachowanie Halet. Te inne sprawy? Nie mogła być tu niczego pewna. Odsuwając na bok niezwykłe zachowanie TT – które pomimo wszystko, mogło mieć wiele różnorakich przyczyn – cały ten strumień wydarzeń, mógł być wytworzony wyłącznie przez jej umysł. Jak do tej pory nie było żadnych dowodów przeciwko temu.

Nie zaszkodzi jednak przyjąć to wszystko, co wydawało się, że zaszło, jako fakt rzeczywisty. Gdzieś tu, w pobliżu, w bardzo rzeczywisty sposób, mogło nabrzmiewać jakieś naprawdę ponure wydarzenie.

— Logicznie myślisz! — Tym razem, wrażenie przybrało postać przemawiającego do niej głosu, głosu nie wydawanego w formie słyszalnego dźwięku. Była to ta sama istota, która zwracała się do niej minutę, czy dwie temu.

Oba światy, między którymi Telzey czuła się zawieszona, powoli zdawały się zlewać razem i stały się jednym.

— Studiuję w szkole prawniczej — wyjaśniła istocie, niemal odruchowo.

Rozbawione potwierdzenie.

— Tak, słyszeliśmy.

— Czego chcesz ode mnie? — dopytywała się Telzey.

— Wkrótce się dowiesz.

— Dlaczego nie powiesz mi teraz? — ponaglała Telzey. Zdaje się, że znowu ją spławiają.

Błysk zniecierpliwienia zapłonął wokół niej.

— Obrazki kiciusia! Myśli kiciusia! Gadanie kiciusia! Za wolno, za wolno! To TWOJE obrazy – za wiele w nich CIEBIE! Zaczekaj aż zostaną…

Zamknięte obwody… otwarte kanały… usunięte przeszkody? Co ono powiedziało? Odebrała tylko rozmyty obraz jakiegoś rodzaju operacji technicznej, drobiazgowej, delikatnej, ale zupełnie normalnej.

— … Teraz już minuty! — dokończył głos. Chwila przerwy, a potem spadła na nią kolejna obojętna myśl. — To jest znacznie ważniejsze dla ciebie, dzieciaku, niż dla nas! — Wrażenie głosowe zakończyło się w tak ostry sposób, jakby ktoś raptownie wyłączył komunikator.

To nie było za bardzo przyjazne! Telzey szła do domu, i narastał w niej ponownie strach… strach podobny do świadomości, że gdzieś w pobliżu

wzbiera burza, ciągle spokojna… lodowato spokojna, ale gotowa do wybuchu.

— Obrazki kiciusia! — głos zdawał się drwić gdzieś z oddali, jak szmer parkowych drzew za murem ogrodu.

Policzki Halet były lekko zaróżowione; jej błękitne oczy iskrzyły się. Wyglądała absolutnie oszałamiająco, co oznaczało, dla każdego kto ją znał, że gorsza strona natury Halet, przygotowywała się do ukąszenia. Na niepoinformowanych mężczyzn, działało to, jednak, w sposób olśniewający i Telzey specjalnie nie zaskoczyło, że kiedy weszła do salonu, gość jej ciotki wyglądał jak pogrążony w transie. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, o kościstej, opalonej twarzy, człowieka spędzającego wiele czasu na świeżym powietrzu. Miał starannie przystrzyżone, czarne wąsy i bliznę na dole jednego z policzków, którą można by uznać za zawadiacką, gdyby nie wyglądała tak szokująco. Obok jego krzesła stał jakiś duży, niezdarnie wyglądający przyrząd, który mógł być kamerą telewizyjną lub czymś podobnym.

Halet przedstawiła ich sobie. Ich gościem był doktor Droon, zoolog. Wczorajszego wieczora w wiadomościach, akurat oglądał nadawany z liniowca wywiad z Telzey, i zastanawiał się, czy Telzey nie zechciałaby porozmawiać z nim na temat Tik-Tak.

— Szczerze mówiąc, nie — odparła Telzey.

Doktor Droon obudził się i posłał Telzey zaskoczone spojrzenie. Halet uśmiechnęła się mile.

— Moja siostrzenica nie chciała być niegrzeczna, panie doktorze — szybko wyjaśniła.

— Oczywiście, że nie — z wahaniem zgodził się zoolog.

— Chodzi tylko o to — mówiła dalej Halet, — że Telzey jest trochę, hmmm…, przewrażliwiona na punkcie niepokojenia Tik-Tak. Na swój własny sposób, jest bardzo przywiązana do tego zwierzęcia. Czyż nie tak, moja droga?

— Tak — uprzejmie przyznała Telzey.

— No cóż, miejmy nadzieję, że to nie będzie dla ciebie zbyt kłopotliwe, moja droga. — Halet spojrzała znacząco na doktora Droona. — Musisz zrozumieć, że doktor Droon, tylko… powiedzmy, że ma ci teraz coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Telzey przeniosła swój wzrok z powrotem na zoologa. Doktor Droon odchrząknął.

— Jak, ehm, rozumiem, panno Amberdon, nie wie pani, jakiego rodzaju stworzeniem jest pani, ehm, Tik-Tak?

Telzey zaczęła coś mówić, ale po chwili powstrzymała się, marszcząc brwi. Właśnie miała oświadczyć, że dokładnie wie jakiego rodzaju stworzeniem jest TT, ale… nie mogła tego zrobić, oczywiście!

Albo mogła? Ona…

Groźnie popatrzyła, nieobecnym spojrzeniem na doktora Droona, przygryzając wargę.

— Telzey! — delikatnie ponagliła ją Halet.

— Tak? — powiedziała Telzey. — Och, proszę mówić dalej, panie doktorze!

Doktor Droon wykręcił dłoń do góry, składając razem czubki palców.

— No więc — oznajmił, — ona… pani pupilka… jest, ehm młodym kotem grzebieniowym. Obecnie już niemal dorosłym okazem, najwidoczniej, i…

— Ależ, oczywiście! — zawołała Telzey.

Zoolog popatrzył na nią.

— Wiedziała pani o tym…

— No dobrze, nie do końca — przyznała Telzey. — Coś w tym rodzaju. — Roześmiała się, a policzki jej się zarumieniły. — To najbardziej… proszę mówić dalej, panie doktorze. Przepraszam, że panu przerwałam. — Wpatrywała się w ścianę za plecami doktora Droona, z zachwyconym wyrazem twarzy.

Zoolog i Halet wymienili między sobą spojrzenia. Potem doktor Droon ostrożnie podjął ponownie wątek. Koty grzebieniowe, wyjaśnił, były gatunkiem pochodzącym z Jontarou. O ich istnieniu wiedziano dopiero od ośmiu lat. Gatunek zdawał się zajmować dosyć ograniczony obszar – góry Baluit, na przeciwległym krańcu ogromnego kontynentu, na którym wybudowano Port Nichay…

Telzey ledwie słyszała jego słowa. Wydarzyła się bowiem bardzo ciekawa rzecz. Wraz z każdym zdaniem przekazanym przez doktora Droona, w jej świadomości pojawiało się kilkanaście innych. Dokładniej mówiąc, był to natychmiastowy strumień informacji, związanej z tym, o czym właśnie mówił, wypływający w sposób ciągły, jakby z jej pamięci, ale nie do końca. Po jakiejś minucie lub dwu, dowiedziała się o kotach grzebieniowych z Jontarou więcej, niż doktor Droon mógłby jej powiedzieć w ciągu kilku godzin… znacznie więcej, niż ona sama o tym kiedykolwiek wcześniej wiedziała.

Nagle zdała sobie sprawę, że przestał mówić, że zadał jej jakieś pytanie.

— Panno Amberdon? — powtórzył raz jeszcze, z nutą niepewności w głosie.

— Wr-rrr-RAU! — miękko oznajmiła Telzey. — Wypiję twoją krew!

— Słucham?

Telzey zamrugała oczyma, skupiła wzrok na dr Droonie, wykręcając swój umysł spomiędzy wspaniałych widoków mglisto-błękitnych wierzchołków gór Baluit.

— Przepraszam pana — wyjaśniła szybko. — To tylko taki żart! — Uśmiechnęła się. — A teraz, czy mógłby pan powtórzyć, co pan przed chwilą powiedział?

Zoolog przez chwilę spoglądał na nią dosyć dziwnym wzrokiem.

— Pytałem panią — odparł po chwili, — czy znane są pani reguły polowań, ustanowione przez różne towarzystwa łowieckie Ośrodka, dotyczące zdobywania trofeów myśliwskich?

Telzey pokręciła przecząco głową.

— Nie, nigdy nawet nie słyszałam o czymś takim.

Reguły te, jak wyjaśnił dr Droon, nakładały określone ograniczenia na rodzaj wykorzystywanego sprzętu… broni, przyrządów detekcyjnych i tropiących, liczbę asystentów, i tak dalej… które myśliwy może użyć w legalny sposób, podczas pościgu za danym rodzajem zdobyczy.

— Już w trakcie pierwszego roku po ich odkryciu — mówił dalej, — koty grzebieniowe z Baluit, zostały umieszczone w klasie dopuszczającej sprzęt ultra.

— Co to jest sprzęt ultra? — spytała Telzey.

— No cóż — z namysłem odparł doktor Droon, — to nie do końca pociąga za sobą użycie pełnego opancerzenia bojowego… a przynajmniej nie w pełni! I, oczywiście, nawet przy tej klasyfikacji, sportowe zasady wzajemnego ryzyka, muszą być zapewnione.

— Wzajemnego… och, rozumiem! — Telzey przerwała na chwilę, ponieważ w jej świadomości pojawiła się kolejna fala milczącej informacji; przeszła dalej. — A więc, zwierzyna także musi mieć szansę dopadnięcia myśliwego?

— Zgadza się. Poza polowaniem na kilka klas zwierząt latających, myśliwym nie wolno, na przykład, używać innych pojazdów powietrznych, niż zwykłe środki transportu. Przy zachowaniu tych wszystkich warunków, wkrótce stwierdzono, że koty grzebieniowe odławiane były przez polujących, przy raczej stałym stosunku jeden do jednego.

Oczy Telzey rozszerzyły się.

Podobne dane odebrała od swego drugiego źródła informacji, ale nie do końca w nie uwierzyła.

— Jeden zabity myśliwy na jednego upolowanego kota? — spytała. — Dosyć ostry sport, co nie?

— Ekstremalnie ostry sport! — sucho zgodził się doktor Droon. — Prawdę mówiąc, po opublikowaniu tych statystyk, zainteresowanie myśliwych, co do zdobycia trofeum kota z Baluit, bardzo mocno i ostro spadło. Z drugiej strony, w stosunku do tych wspaniałych zwierząt, rozwinęło się bardziej naukowe zainteresowanie i wydano wiele pozwoleń na ich pozyskanie przez agentów muzeów, uniwersytetów oraz prywatnych i publicznych zbiorów. Oczywiście, w przypadku tego rodzaju działalności, reguły myśliwskie nie mają zastosowania.

Telzey skinęła z roztargnieniem głową.

— Rozumiem! Oni korzystali z pojazdów powietrznych? Z jakiegoś rodzaju ciężkiej broni ogłuszającej…

— Wykorzystanie pojazdów powietrznych, detektorów dalekiego zasięgu, broni paraliżującej jest standardem przy tego rodzaju pracy — przyznał dr Droon. — W odpowiednich okolicznościach, oczywiście, używa

się również gazów i trucizn. Przez pewien czas, pozyskujący byli stosunkowo skuteczni.

— I wtedy wydarzyło się coś bardzo ciekawego. W ciągu mniej niż dwóch lat od ich odkrycia, grzebieniowe koty z gór Baluit, stały się gatunkiem wymarłym! Działania człowieka, biorąc pod uwagę ich liczbę, nie mogły tego spowodować, a więc trzeba było przyjąć, że wygubiła je jakaś nagła zaraza. W każdym razie, na Jontarou nie widziano żadnego żyjącego przedstawiciela tego gatunku, dopóki ubiegłej nocy pani nie wylądowała tutaj ze swoim zwierzęciem.

Telzey milczała przez kilka sekund. Nie z powodu tego, co powiedział dr Droon, lecz z powodu wiedzy nieustannie wlewającej się do jej umysłu. W jednym istotnym punkcie różniła się ona w stosunku do twierdzeń zoologa, i z tego miejsca wytworzył się w jej głowie pewien chłodny logiczny wzorzec. Telzey nie zdołała jeszcze uchwycić tego wzorca we wszystkich szczegółach, ale to co dostrzegała, poruszyło ją z na wpół niedowierzającym strachem.

Zadała pytanie, ostrożnie dobierając słowa, ale zwracając jedynie cząstkę swojej uwagi na to, co mówi:

— Ale co to wszystko ma wspólnego z Tik-Tak, panie doktorze?

Dr Droon zerknął na Halet i przeniósł z powrotem spojrzenie na Telzey. Wyglądając na bardzo zakłopotanego, ale zupełnie zdeterminowanego, wyjaśnił jej:

— Panno Amberdon, istnieje prawo Federacji, które mówi, że jeżeli jakiś gatunek zagrożony jest wyginięciem, to wszystkie dostępne ocalałe osobniki muszą zostać przetransferowane do Banków Życia Ligi Uniwersyteckiej, aby zapewnić ich przechowanie na czas nieokreślony. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, prawo to stosuje się, ehm, do Tik-Tak!

A więc, na tym polegała sztuczka Halet. Dowiedziała się skądś o kotach grzebieniowych, poświęciła parę miesięcy, na zaaranżowanie wszystkiego tak, by odkrycie pochodzenia Tik-Tak z Jontarou wyglądało na godzien pożałowania pech – coś, czego nie można było przewidzieć, ani czemu nie dało się zapobiec. W Bankach Życia, z tego co Telzey o nich słyszała, TT przestałaby istnieć jako odrębna świadomość, na czas w którym naukowcy, szukaliby możliwości rekonstrukcji jej gatunku.

Telzey przez chwilę studiowała starannie współczującą twarz ciotki, a potem spytała doktora Droona:

— A co z innymi kotami grzebieniowymi – mówił pan, że jakieś egzemplarze zostały pozyskane przed ich wyginięciem. Czy one nie wystarczą na potrzeby Banków Życia?

Pokręcił przecząco głową.

— Wiadomo, że istniały dwa niedojrzałe okazy męskie, i obecnie znajdują się już one w Bankach Życia. Pozostałe, które schwytano żywcem, w międzyczasie zostały zniszczone… często w prawie katastrofalnych okolicznościach. To były niesamowicie sprytne i

niesamowicie dzikie stworzenia, panno Amberdon! W dodatku koty te potrafią się tak dokładnie ukryć, że są praktycznie niemożliwe do zauważenia bez wykorzystania specjalistycznych przyrządów, co czyni z nich jedno z najbardziej niebezpiecznych znanych zwierząt. Ponieważ młoda samica, którą pani wychowywała jako zwierzę domowe, pozostała łagodna… przynajmniej jak dotąd… naprawdę, nie jest pani w stanie tego sama ocenić.

— Być może jestem — odparła Telzey. Skinęła głową w stronę ciężko wyglądającego przyrządu, stojącego obok jego krzesła. — A to jest…?

— To jest detektor życia, połączony ze strzelbą paraliżującą, panno Amberdon. Nie mam zamiaru skrzywdzić pani pupilki, ale przy tego rodzaju zwierzęciu, nie możemy podejmować ryzyka. Wyładowanie strzelby pozbawi ją przytomności tylko na kilka minut – na tyle długo, bym ją mógł obezwładnić przy pomocy pasów paraliżujących.

— Czy pan jest pozyskiwaczem dla Banków Życia?

— Tak jest.

— Moja droga, doktor Droon — zauważyła Halet, — otrzymał zezwolenie od Moderatora Planetarnego, zatwierdzające roszczenie w stosunku do Tik-Tak, ze strony Ligi Uniwersyteckiej i nakazujące zabranie jej z planety. Jak więc widzisz, po prostu nic w tej sprawie nie możemy zrobić! Twojej matce nie spodobałoby się, gdybyśmy próbowały sprzeciwić się prawu, nieprawdaż? — Halet przerwała na chwilę. — Zezwolenie wymaga twojego podpisu, Telzey, ale jeśli to będzie konieczne, ja mogę podpisać je w twoim imieniu.

W ten sposób Halet poinformowała ją, że apelacja do Planetarnego Moderatora na Jontarou nie powiedzie się. Podjęła już środki aby uzyskać jego wcześniejszą zgodę w tej sprawie.

— Tak więc, gdybyś zechciała zawołać tutaj Tik-Tak, moja droga… — kontynuowała Halet.

Telzey ledwie słyszała jej ostatnie słowa. Poczuła, że z wolna sztywnieje, podczas gdy salon niemal rozpływał się przed jej oczyma. Może, właśnie w tej chwili, jakiś dodatkowy obwód zamknął się w jej głowie, albo otworzył się jakiś nowy kanał, niezbędny dla celów TT, aby wciągnąć ją w kontakt z beztroskimi, kpiącymi istotami, których obecność na dworze stała się nagle i oszałamiająco oczywista.

Oznaczało to jednocześnie, że musi wyjść z domu, tak by nikt tego nie zauważył, oraz znaleźć sobie jakieś miejsce, w którym przez następne pół godziny nikt jej nie będzie przeszkadzał.

Uświadomiła sobie, że Halet i zoolog wpatrują się w nią dziwnym wzrokiem.

— **M**oja droga, źle się czujesz?

— Nie — Telzey wstała. Mówienie czegokolwiek tej dwójce nie miało najmniejszego sensu! Jej twarz w tej chwili musiała być zupełnie biała – czuła to wyraźnie – ale oni oczywiście myśleli, że to spadł na nią wstrząs związany z utratą Tik-Tak.

— Zanim cokolwiek podpiszę, będę musiała sprawdzić ten akt prawny, o którym wspomniał pan przed chwilą — powiedziała do doktora Droona.

— Dlaczego nie, dobrze… — zaczął podnosić się z krzesła. — Z pewnością da się to zaaranżować, panno Amberdon.

— Proszę nie dzwonić do biura Moderatora — powstrzymała go Telzey. — Zabrałam ze sobą moją bibliotekę prawną. Sama się temu przyjrzę. — Odwróciła się, żeby wyjść z salonu.

— Moja siostrzenica — wyjaśniła Halet doktorowi Droonowi, który zaczynał wyglądać na zaintrygowanego, — uczęszcza na studia prawnicze. Zawsze była bardzo zaabsorbowana tymi sprawami… Telzey?

— Tak, Halet? — Telzey zatrzymała się w drzwiach.

— Moja droga, bardzo się cieszę, że tak rozsądnie to wszystko przyjmujesz. Ale niech ci to nie zabierze zbyt długo, dobrze? Nie chcemy marnować czasu doktora Droona.

— To powinno potrwać najwyżej pięć, dziesięć minut — zgodnym tonem odparła Telzey.

Zamknęła drzwi za sobą i poszła prosto na drugie piętro, do swojej sypialni. Jedna z jej dwóch waliz ciągle była nierozpakowana. Zamknęła drzwi na klucz, otworzyła walizkę, wyjęła kieszonkową edycję biblioteki prawniczej i usiadła nad nią przy stole.

Włączyła ekran biblioteki oraz nacisnęła przyciski Czyść i Indeks. We wnętrzu urządzenia, za ekranem, lekko przesunął się jeden z wielu rzędów taśm wielkości łebka od szpilki i na pozycję pod głowice czytnika ustawił się indeks. Pół minuty później przeglądała już akty prawne, na których doktor Droon opierał swoje roszczenia. Biblioteka potwierdzała to, co powiedział.

Bardzo sprytnie, Halet, pomyślała Telzey, bardzo podle… i kompletnie idiotycznie! Nawet studentka drugiego roku prawa potrafiła na poczekaniu wymyślić dwa, trzy sposoby, przy pomocy których sprawa mogłaby się ciągnąć w sądach Federacji przez ładnych parę dekad, zanim kwestia przekazania Tik-Tak do Banków Życia, stałaby się czymś bardziej dotkliwym.

No cóż, Halet po prostu nie była specjalnie inteligentna. I jej spisek, odebrania siłą Tik-Tak, przestał być już jakąś istotną kwestią.

Telzey zatrzasnęła małą biblioteczkę, przypięła ją do paska swojego opalacza i podeszła do otwartego okna. W ścianie, pod oknem, znajdował się dwustopowy występ, prowadzący na zadaszenie położonego po prawej stronie patio. Pięćdziesiąt jardów za patio, ogród kończył się murem z naturalnego kamienia. Za murem rozciągał się jeden z wielkich, zadrzewionych obszarów parkowych, które zajmowały większość poziomu ziemi w Port Nichay.

Tik-Tak nigdzie nie było widać. Z okien na poziomie ziemi, po lewo, dochodziły odgłosy rozmowy. Halet przywiozła ze sobą swoją pokojówkę i szofera, zaś dzisiaj rano, akurat na czas, aby przygotować im śniadanie, pojawił się kucharz, stanowiący część obsługi miejskiego domu dla gości. Telzey przyniosła do okna pustą walizkę, zaparła ją końcem o lewą część framugi i opuściła okno, aż oparło się o walizkę. Potem podeszła do

znajdującego się obok drzwi panelu domowego systemu zabezpieczeń, położyła palec na przycisku blokady i nacisnęła go.

Dźwięk głosów, dochodzący z niższego piętra, urwał się nagle, kiedy wszystkie zewnętrzne okna i drzwi w całym domu cicho się zamknęły. Telzey spojrzała za siebie na okno. Walizka lekko zatrzeszczała, ponieważ pole zabezpieczające powędrowało w dół po framudze i naparło na nią, ale wytrzymała nacisk. Dziewczyna wróciła do okna, wysunęła nogi przez pozostały otwór, przekręciła się plecami do góry i znalazła stopami oparcie na występie.

Minutę później ześlizgiwała się już na ziemię, po pnączach porastających kratę patio. Nawet po tym jak odkryją, że zniknęła, pole zabezpieczające zatrzyma w środku na parę chwil, wszystkich znajdujących się w domu. Będą musieli rozebrać główne urządzenia pola i zacząć w nich grzebać, albo siłą otworzyć drzwi do jej pokoju i wyłączyć blokadę. Oba podejścia, spowodują znaczne zamieszanie, zdenerwowanie i generalnie opóźnienie w organizacji jakiegokolwiek pościgu.

Telzey obeszła patio dookoła i ruszyła w stronę muru, trzymając się szczytu domu, aby nie było widać jej z okien. Zarośla cicho szeleściły, kiedy się przez nie przeciskała… i z tyłu doleciał do niej jeszcze jakiś inny szmer, być może wywołany tylko przez powolny, stały ruch powietrza w znajdujących się za jej plecami krzewach. Mimo woli zadrżała, ale nie oglądała się za siebie.

Podeszła do muru i stanęła bez ruchu, mierząc jego wysokość. Podskoczyła i przerzuciła ręce przez jego szczyt, zaparła się kolanami i wypychała się coraz wyżej. Znalazła się na górze. Zeskoczyła na trawę po drugiej stronie muru, z lekkim przygłuszonym tupnięciem, obejrzała się na chwilę na dom, przeszła drogę i zanurzyła się między drzewami parkowymi.

Już po kilkuset jardach, stało się ewidentne, że ma towarzystwo. Nie rozglądała się specjalnie za nimi, ale rozciągnięte w tyralierę po lewej i po prawej stronie, utrzymując się na równi z nią, jakieś ulotne cienie prześlizgiwały się w zupełnej ciszy przez łaty otwartej, zalanej promieniami słońca ziemi, by po chwili zniknąć pod drzewami. Poza nimi, w zasięgu wzroku nie było niemal nikogo innego. Okazało się, że ludzcy rezydenci Port Nichay niemal w ogóle nie korzystali z rozległych terenów parkowych, rozciągających się pod ich apartamentami we wieżach; ruch uliczny, natomiast, przeniósł się na trasy powietrzne, widoczne z ziemi jedynie jako tęczowe wstęgi przecinające niebo między najwyższymi poziomami wież. Tylko sporadycznie jakiś prywatny pojazd powietrzny przelatywał bezpośrednio nad nimi.

Kiedy cichy rząd cieni zagłębiał się wraz z nią coraz bardziej w park, raz za razem przez umysł Telzey przemykały rozbłyski myśli, które nie należały do niej. Zdała sobie sprawę, że ponownie jest mierzona, osądzana i oceniana. Nie napływały już nowe informacje. Otrzymała tyle, ile potrzebowała. Być może teraz, stworzenia były po prostu ciekawe. Być

może był to pierwszy ludzki umysł, z którym miały okazję się zapoznać, który nie okazał się głuchy i niemy na ich formy porozumiewania się. Poświęcały więc czas na jego badanie. Chciały się upewnić, że będzie miała im do powiedzenia coś naprawdę ważnego; pojawiały się wśród nich pewne drwiące wątpliwości co do tego. Ale skłonne były jeszcze trochę poczekać, aby się wszystkiego dowiedzieć. Były ciekawskie i lubiły gry. W tej chwili Telzey i to co mogła ona próbować zrobić, aby zmienić ich plany, było grą, bez reszty przyciągającą ich uwagę.

Minęło dwanaście minut, zanim komunikator na nadgarstku Telzey, zaczął brzęczeć. Przez kolejnych parę minut nieustannie włączał się i wyłączał, a potem ucichł. Tamci w domu, nie mogli być pewni, czy czasami nie zamknęła się w swoim pokoju i nie chce odbierać połączeń. Jednak na wszelki wypadek, Telzey przyśpieszyła.

Drzewa w parku, robiły się coraz potężniejsze, sięgały coraz wyżej ponad jej głową, jednocześnie rosnąc dalej od siebie. Zanurzyła się w porannym cieniu wieży mieszkalnej, położonej najbliżej wynajętego przez nie domu, i po kilku chwilach wyszła z niego na brzeg niewielkiego jeziora. Po jego drugiej stronie kilka pasących się cętkowanych zwierząt, wyglądających jak wysokie konie o długich szyjach, uniosło głowy, żeby ją obserwować. Przez kilka chwil zdawały się być tylko obojętnie zainteresowane, potem jednak przez jeziorko przeleciał leciutki wietrzyk, ledwie marszczący powierzchnię wody, ale kiedy tylko dotarł do przeciwległego brzegu, między roślinożercami wybuchła gwałtowna panika. Odwróciły się i błyskawicznie zaczęły uciekać, dwudziestostopowymi, lekkimi skokami, znikając pomiędzy drzewami.

Telzey poczuła wędrujący po plecach dreszcz. To była pierwsza obiektywna oznaka, natury towarzystwa, które sprowadziła nad to jezioro. I chociaż nie była to żadna specjalna niespodzianka, przez chwilę odczuwała nieodpartą potrzebę podążenia śladem roślinożerców.

— Tik-Tak? — wyszeptała, czując nagle dławienie w gardle.

Z krzaków po prawo doleciał do niej pojedynczy, wznoszący się, a potem opadający pomruk. TT nadal była w pobliżu, cokolwiek dobrego miałoby to przynieść. Pewnie nie za wiele, pomyślała sobie Telzey, zwłaszcza jeżeli zaczną się prawdziwe kłopoty. Ale wiedza ta dodała jej nieco otuchy… a to miejsce zdawało się być położone tak daleko od wynajętego domu, jak to jej było potrzebne. Wkrótce zaczną jej szukać z powietrza, ale nie było żadnych śladów mogących im powiedzieć, w którym kierunku powinni udać się najpierw.

Weszła na skarpę na brzegu jeziora, w miejsce gdzie od góry była skryta zarówno przez gęste, zielone krzaki jak i koronę jednego z ogromnych drzew. Usiadła na jakichś suchych, omszałych porostach, odpięła biblioteczkę prawniczą od pasa, otworzyła ją i umieściła ją na kolanach. Niewyraźne ruchy wskazywały, że jej eskorta, również usiadła w nieregularnym kręgu wokół niej. Strach ponownie wrócił, przebiegając dreszczami po jej skórze. Nie chodziło o to, że ich nastawienie do niej było wrogie, po prostu były trochę onieśmielające. I nikt nie potrafił przewidzieć, co mogą zrobić później. Nie rozglądając się, w myślach zadała pytanie:

— Gotowi?

Poczucie potwierdzenia z wielu miejsc, różnie zabarwionego – sardonicznie, z zainteresowaniem i rozbawieniem, uważnie, niepewnie. Przebijała przez nie także niecierpliwość, tylko na razie powstrzymywana na wodzy, i czoło Telzey nagle zrobiło się mokre od potu. Niektóre z nich wydawały się być na skraju wyrażenia dezaprobaty, z powodu tego co się tutaj działo…

Jej palce szybko włączyły taśmę z indeksem i wir uczuć na jej temat, wyraźnie opadł. Znowu na jakiś czas udało jej się przyciągnąć ich uwagę. Jej myśli stały się do pewnego stopnia abstrakcyjne, gotowe do przyjęcia stawianego problemu w standardowy sposób i przedstawienia odpowiedzi na niego. Zasadniczo nie jakiegoś bardzo zawiłego problemu, ale tym razem nie było to szkolne ćwiczenie. Otaczające ją towarzystwo czekało, ponownie wycofane, ciche, powściągliwe, podczas gdy indeks wygaszał się i podświetlał, wygaszał i podświetlał. W ciągu półtorej minuty, wynotowała kilkanaście symboli referencyjnych. Włączyła kolejną z mikroskopijnych taśm, przejrzała z niej kilka paragrafów, oblizując słony pot z warg, i powiedziała w myślach, podkreślając znaczenie każdego poszczególnego słowa w zdaniu, tak by nie pojawiły się jakiekolwiek nieporozumienia. „To jest ustawodawstwo Federacji, które stosuje się do sytuacji oryginalnie istniejącej na tej planecie…”.

Nie było żadnych przerw, myśli z komentarzem, ani żadnego rodzaju wyskoków. Omówiła krok po kroku prezentowany akt, przeszła do drugiego, a następnie kolejnego. W ciągu mniej więcej dwunastu minut doszła do końca ostatniego i przerwała. Natychmiast wokół niej wybuchła dyskusja.

Telzey nie została dopuszczona do tej debaty; prawdę mówiąc, była w stanie wychwycić tylko jej strzępki. Albo wykluczyły ją celowo, albo wymiana zdań była zbyt szybka, zmienna i wyćwiczona, aby mogła ją śledzić. Ale ich gwałtowność, nie zachęcała do wpraszania się. Poza tym, czy to było rozsądne, aby przyjmować, że prawo Federacji mogło mieć jakiekolwiek znaczenie, dla takich umysłów? Telzey zamknęła biblioteczkę, lekko zaczynającymi drżeć palcami, i położyła ją na ziemi. W tej samej chwili zesztywniała. W obmywających ją ze wszystkich stron wrażeniach, nagle podniosło się szczególne podniecenie, zalew niemalże rozradowanej dzikości która prawie jej zdusiła oddech w gardle. Po tym, nadeszła świadomość pary utkwionych w niej złośliwych, szkarłatnych oczu, stale przysuwających się coraz bliżej niej. Telzey pochwyciło coś w rodzaju paraliżu z sennego koszmaru, przecież mogli ją oddać tej czerwonookiej grozie! Siedziała nieruchomo, robiąc się mała jak myszka.

Coś za jej plecami wyskoczyło z trzaskiem z zarośli. Natychmiast wszystkie mięśnie wyprężyły jej się jak struny. Ale to była TT, która otarła się swoim twardym pyskiem o jej ramię, zrobiła kolejne trzy kroki na sztywnych łapach i stanęła między Telzey i krzakami po prawo, napięta, z postawionym futrem na szyi i bijącym po bokach ogonem.

Zamknęła się wokół nich wyczekująca cisza. Krąg czekał. W zieleni po prawej stronie coś powoli i ciężko się poruszyło.

TT uniosła wargi nad kłami. Odwróciła się w stronę poruszających się krzaków, kładąc uszy po sobie, zamieniając pysk we wściekłą, prawie demonią maskę. Z jej płuc wyrwał się przeciągły wrzask, czystej furii, żądzy krwi i wyzwania.

Odgłos ucichł. Przez kilka sekund napięcie wokół nich utrzymywało się; potem nadeszło wrażenie stopniowego odprężenia, zmieszanego z po części rozbawioną aprobatą. Telzey trzęsła się gwałtownie. To był, jak jej przekazano, celowo przygotowany test… nie dla niej, oczywiście, ale dla TT. I Tik-Tak zdała go wyśmienicie. To, że jej nerwy zostały w trakcie tego procesu zrujnowane nieomal do szczętu, zdawało się być kwestią bez żadnego znaczenia, dla tej twardej ekipy.

W kolejnej chwili, uświadomiła sobie, że ktoś zwraca się do niej osobiście.

Telzey kilka sekund zajęło zebranie razem rozwichrzonych myśli, tak by mogła uzyskać jakieś bardziej określone wrażenie. Mówca, jak wtedy odkryła, był członkiem otaczającego ją kręgu, którego obecności nie była wcześniej świadoma. Przychodzące od niego wrażenia myślowe, były twarde i zimne jak stal – osobowość, która ewidentnie przywykła do podejmowania najważniejszych decyzji i czuwania nad ich realizacją. Krąg, którego chwile zabawy wyraźnie minęły, słuchał go z aurą więcej niż szacunku. Tik-Tak, aczkolwiek daleka od podporządkowania się, z ciągle płonącymi zielonymi oczyma, została nakłoniona, by także go wysłuchać.

Telzey zaczęła rozumieć.

Jej sugestie, jak poinformował ją Żelazne Myśli, mogą nie mieć żadnej wartości dla wielu obecnych tutaj głupich umysłów, ale on miał zamiar dopilnować, żeby dano jej uczciwą szansę. Czy może usłyszał, spytał kogoś innego z kręgu, rzucając przy tym od niechcenia lecz straszliwie wyraziste wrażenie trzaskających kręgosłupów i rozchlastanych kudłatych gardeł tryskających krwią, jakiś sprzeciw?

Wszędzie dookoła zapadła śmiertelna cisza. Zdecydowanie, nie było żadnych sprzeciwów. Tik-Tak wyszczerzyła się w uśmiechu, jak rozanielony kociak.

Teraz, gdy ta sprawa została załatwiona w porządny sposób. Żelazne Myśli zwrócił się chłodno do Telzey, jaką ma właściwie propozycję, co do tego co powinni zrobić?

Długi, perłowo-szary sportowy wóz Halet, pojawił się nad drzewami parku mniej więcej dwadzieścia minut później. Telzey, z twarzą zwróconą w dół, w stronę leżącej na kolanach otwartej biblioteki, obserwowała samochód tylko kątem oka. Była doskonale widoczna, siedziała koło jeziora, wyglądała na zaabsorbowaną badaniami prawnymi. Tik-Tak, zakamuflowana między krzewami, trzydzieści stóp wyżej, na skarpie, dostrzegła samochód chwilę przed nią i obwieściła ten fakt trzysekundową przerwą w mruczeniu. Żadna z nich nie wykonała jakiegokolwiek innego ruchu.

Samochód zbliżał się do jeziora, lecz ciągle był w sporej odległości od niego. Miał opuszczony dach i Telzey z trudnością, ale mogła dostrzec głowy trzech siedzących w środku ludzi. Ten, który prowadził pojazd, to był chyba Delquos, szofer Halet, zaś Halet i doktor Droon rozglądali się wokoło, z obu boków. Trzysta jardów od niej, samochód powietrzny zaczął skręcać w prawo. Delquos niespecjalnie lubił swoją pracodawczynię; jak przypuszczała, po prostu dostrzegł Telzey i próbował ją ostrzec.

Telzey zamknęła bibliotekę i odłożyła ją; wzięła garść kamyków i zaczęła leniwie rzucać nimi po jednym do wody. Samochód powietrzny zniknął gdzieś po lewej stronie.

Trzy minuty później, przyglądała się, jak jego cień ślizga się po powierzchni jeziora w jej kierunku. Serce zaczęło jej głucho walić w niemal słyszalny sposób, ale nie unosiła wzroku. Tik-Tak nieustannie mruczała, na swój regularny, nieśpieszny sposób. Pojazd zatrzymał się niemal bezpośrednio nad nią. Po kilku sekundach usłyszała kliknięcie. Mruczenie raptownie ucichło.

Zaraz jak tylko Delquos posadził samochód na brzegu jeziora, Telzey podniosła się na nogi. Szofer uśmiechnął się do niej z żalem. Drzwiczki samochodu otworzyły się, za nimi stali Halet i doktor Droon. Halet obserwowała Telzey z lekkim uśmieszkiem, podczas gdy naturalista, starannie układał na podłodze ciężkie urządzenie łączące detektor życia i broń paraliżującą.

— Jeżeli szukacie Tik-Tak — powiedziała Telzey, — to jej tu nie ma.

Halet tylko pokręciła głową z fałszywym żalem:

— Moja droga, nie ma sensu nas okłamywać. Doktor Droon, przed chwilą ją ogłuszył.

Znaleźli TT leżącą na boku, między krzewami, z futrem w jej naturalnym kolorze. Oczy miała zamknięte, a pierś unosiła się i opadała w wolnym rytmie. Doktor Droon, wyglądający raczej przepraszająco, zapewniał Telzey, że jej ulubienica nie czuła, ani nie czuje bólu, że broń paraliżująca tylko ją bezstresowo uśpiła. Objaśnił jej także sposób działania dwóch zestawów pajęczych pasów paraliżujących, które zapiął wokół łap TT. Skutek ładunku paralizatora, powinien ustać w ciągu kilku najbliższych minut i kontakt z wewnętrzną powierzchnią naładowanych pasów, miał utrzymać TT w znieczuleniu, niezdolną do ruchu dopóki nie zostaną one usunięte. W trakcie tego procesu, jak powtarzał, nie powinna czuć żadnego bólu.

Telzey nie skomentowała jego słów. Obserwowała jak Delquos podnosi bezwładne ciało TT ponad poziom krzewów, należącym do doktora Droona podnośnikiem grawitacyjnym i transportuje je do samochodu. Pozostali ruszyli jego śladem. Delquos wsiadł do samochodu jako pierwszy i otworzył duży przedział bagażowy na tyle. Wsunął TT do środka, a następnie zamknął bagażnik.

— Dokąd pan ją zabiera — spytała ponuro Telzey, kiedy Delquos podniósł samochód w powietrze.

— Do portu kosmicznego, moja droga — wtrąciła Halet. — Doktor Droon i ja uznaliśmy, że lepiej będzie oszczędzić ci bólu i nie przeciągać tej sprawy dłużej niż to jest konieczne.

Telzey zmarszczyła pogardliwie nos, i przeszła na przód samochodu powietrznego, stając za siedzeniem Delquosa. Na chwilę oparła się o tył fotela. Czuła, że nogi jej drżą.

Szofer mrugnął do niej uspokajająco okiem.

— To zwykłe świństwo, jak ona z panią postępuje, panno Telzey! — wymamrotał. — Próbowałem panią ostrzec.

— Wiem. — Telzey złapała głębszy oddech. — Posłuchaj, Delquos, za chwilę coś się wydarzy! Będzie to wyglądało niebezpiecznie, ale w ogóle nie ma zagrożenia. Nie rób żadnych nerwowych ruchów… dobrze?

— Słucham? — Delquos wyglądał na zaniepokojonego, ale mówił cały czas przyciszonym głosem. — Ale co ma się tutaj stać?

— Nie ma czasu, żeby teraz o tym mówić. Po prostu pamiętaj, co ci powiedziałam.

Telzey przesunęła się kilka kroków do tyłu od siedzenia kierowcy i oznajmiła niepewnym głosem:

— Halet… Panie doktorze…

Halet mówiła właśnie coś cicho do doktora Droona; oboje unieśli na nią wzrok.

— Jeżeli nie poruszycie się, ani nie zrobicie niczego głupiego, nic wam się nie stanie — szybko wyrzuciła z siebie Telzey. — Jeżeli coś zrobicie… no cóż, nie wiem! Posłuchajcie, w samochodzie jest jeszcze jeden kot grzebieniowy… — A w myślach dodała: — Teraz!

Aż do tej pory, nie dało się dostrzec, w której części samochodu czaił się Żelazne Myśli. Nagle tapicerka w pobliżu tylnych siedzeń pasażerskich jakby rozmyła się na krótką chwilę. I już tam był, kamuflaż opadł, siedział na podłodze o pięć stóp od naturalisty i Halet.

Usta Halet otworzyły się jak szeroko; próbowała wrzasnąć, ale zamiast tego zemdlała. Prawa ręka doktora Droona wystartowała szybko w stronę wielkiego karabinu obezwładniającego, leżącego za siedzeniem. Po chwili jednak opanował się i siedział nieruchomo, z twarzą bladą jak popiół.

Telzey absolutnie nie winiła go za zmianę zdania. Przeciwnie, stwierdziła, że musi on być niesamowicie odważnym człowiekiem, skoro w ogóle się poruszył. Żelazne Myśli miał dwa razy taki szeroki grzbiet jak TT, był dwa razy mocniej umięśniony i nawet dla niej wyglądał jak diabelska bestia. Jego ciemno-zielona, marmurkowana skóra, była cała poznaczona dawnymi bliznami; połowa z jego położonego szkarłatnego grzebienia, wyglądała jakby była powyrywana. Wyciągnął teraz łapę milczącym, płynnym ruchem, zahaczył nią paralizator i cisnął do góry. Wielkie urządzenie wyleciało osiemdziesiąt stóp w powietrze, niewiarygodnie szybkim, ostrym łukiem, różne części odpadły od niego, zanim zaczęło spadać w dół, w stronę wierzchołków drzew przesuwających się pod

samochodem powietrznym. Żelazne Myśli leniwie powiódł łbem wokół siebie i popatrzył na Telzey żółtymi, gorejącymi oczyma.

— Panno Telzey! Panno Telzey! — wymamrotał za nią Delquos. — Czy jest pani pewna, że on nie…

Telzey przełknęła ślinę. W tym momencie czuła się znów jak mała myszka.

— Tylko spokojnie! — uspokoiła Delquosa trzęsącym się głosem. — On naprawdę jest całkiem o-o-o-oswojony.

Żelazne Myśli przesłał jej w myślach szorstki, ale nie nieprzyjazny chichot.

Perłowo-szary samochód sportowy, nakryty teraz przez opływowy dach, wkrótce podszedł do lądowania na platformie parkingowej, koło ciągu biur Moderatora Planetarnego na Jontarou, na czternastym piętrze Shikaris' Club Tower. Parkingowy machnięciem ręką skierował ich na wolne miejsce.

W samochodzie, Delquos zaciągnął hamulce, wyłączył silnik i spytał:

— I co dalej?

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli cię zamknę w przedziale bagażowym, razem z ciotką i doktorem Droonem. Ja pójdę porozmawiać z Moderatorem.

Szofer wzruszył ramionami. W czasie nieśpiesznej podróży przez obszary parkowe, odzyskał już w znacznym stopniu zimną krew. Żelazne Myśli nic nie robił, tylko siedział pośrodku samochodu, z na wpół przymkniętymi oczyma, wyglądając jak nagła śmierć ciesząca się dostojną drzemką, od czasu do czasu wydając z siebie rzężący odgłos, który mógł być zarówno jego specyficznym stylem mruczenia, albo chrapaniem. Zaś Tik-Tak, kiedy Delquos pod kierunkiem Telzey zdjął jej z nóg pasy paraliżujące, powitała go ze swoją zwykłą pełną rezerwy uprzejmością. W tej chwili, szofer najbardziej cierpiał z powodu ogromnej ciekawości, ale Telzey nie zrobiła nic, aby temu zaradzić.

— Tak, jak pani powiedziała, panno Telzey — zgodził się. — Z niechęcią myślę o przepuszczeniu tego wszystkiego, co tu się będzie działo, ale jeśli mnie pani teraz nie zamknie, to panna Halet domyśli się, że pani pomagałem i wyrzuci mnie natychmiast, kiedy pani ją stąd wypuści.

Telzey skinęła głową, a następnie skręciła głowę w stronę tylnego przedziału. Ciche odgłosy dochodzące przez drzwi, wskazywały, że Halet odzyskała przytomność i zaczęła dostawać ataku histerii.

— Możesz jej powiedzieć — zasugerowała Telzey, — że pod drzwiami przedziału bagażowego przez cały czas siedzi naprawdę ogromny, dorosły kot grzebieniowy. — To nie była prawda, ale ani Halet ani Delquos nie musieli tego wiedzieć. — Jeżeli w środku, przed moim powrotem, będzie za dużo hałasu, bardzo możliwe, że strasznie go to zirytuje…

Chwilę potem zamknęła oba wejścia do samochodu na zamek i ruszyła po parkingu, żałując, że nie była ubrana chociaż trochę mniej

nieformalnie. Krótkie spodenki i sandały powodowały, że wyglądała strasznie dziecinnie.

Parkingowy wyglądał na nieco wystraszony, kiedy podeszła ku niemu, z kroczącą u jej boku Tik-Tak.

— Panienko, nie pozwolą panience wejść do biur z tym stworzeniem — poinformował ją. — Przecież ono nie ma nawet obroży!

— Niech to pana nie martwi — oświadczyła wyniośle Telzey.

Upuściła w jego dłoń dwukredytową monetę, którą wzięła z portmonetki Halet, i dalej szła w stronę wejścia do budynku. Parkingowy odprowadził ją wzrokiem, próbując bezskutecznie wyrzucić z głowy dziwaczne wrażenie, że wielkie kotowate zwierzę, idące razem z dziewczyną, rzuca podwójny cień.

Kierowniczka recepcji Moderatora też miała pewne wątpliwości dotyczące TT i być może krótkich spodenek, chociaż duże wrażenie uczynił na niej identyfikator Telzey, który poinformował ją, że rozmawia właśnie z córką Członkini Rady Federacji, Jessamine Amberdon.

— Uważa pani, że może pani omówić tę… nagłą sytuację… tylko osobiście z Moderatorem, panno Amberdon? — powtórzyła.

— Dokładnie — pewnym siebie głosem odparła Telzey.

Kiedy mówiła, odezwał się dzwonek. Recepcjonistka przeprosiła ją i podniosła słuchawkę. Przez chwilę słuchała, a potem odpowiedziała uniżenie:

— Tak… Oczywiście… Tak, rozumiem… — odłożyła słuchawkę i wstała, uśmiechając się do Telzey.

— Proszę pójść za mną, panno Amberdon — powiedziała. — Myślę, że Moderator spotka się z panią natychmiast…

Telzey udała się za nią, przygryzając z namysłem wargę. Poszło łatwiej niż się spodziewała – prawdę mówiąc, zdecydowanie za łatwo! Robota Halet? Może. Parę komentarzy w stylu „Dziecko o bujnej fantazji… nadmiernie pobudliwe”, kiedy Halet załatwiała w biurze Moderatora autoryzację przeniesienia Tik-Tak do Banków Życia, do tego wplątana gdzieś sugestia, że Jessamine Amberdon byłaby bardzo wdzięczna za dyskretne załatwienie każdego incydentu, jaki Telzey mogłaby wywołać w efekcie tej sprawy.

Taki sposób postępowania, byłby podobny do Halet…

Przeszli przez szereg elegancko wyglądających biur i korytarzy. Telzey trzymała TT za futro na karku, w zastępstwie smyczy, zaś ich widok wyzwalał między sekretarkami i urzędnikami, taktownie wstrzemięźliwą falę zaskoczenia. I jeżeli ktoś tu i ówdzie poczuł się zaniepokojony przez przelotne niezwykłe wrażenie, że gościowi Moderatora w drodze między biurkami zdają się towarzyszyć, nie jedna ale dwie wielkie bestie, nie padła nawet jedna uwaga na temat czegoś, co przecież mogło być tylko chwilowym zaburzeniem wzroku. W końcu, otworzyły się przed nimi

wielkie rozsuwane drzwi i recepcjonistka wyprowadziła Telzey do dużego, chłodnego ogrodu balkonowego, po zacienionej stronie ogromnego budynku. Na ich widok zza biurka, przy którym pracował, wstał wysoki, szczupły, siwowłosy mężczyzna, który ukłonił się Telzey. Recepcjonistka zostawiła ich samych.

— Co za przyjemność, panno Amberdon — przywitał ją Planetarny Moderator Jontarou. — Proszę usiąść. — Kiedy Telzey siadała w fotelu, przyjrzał się z bardziej niż przyczynkowym zainteresowaniem Tik-Tak i dodał: — W czym ja, albo moje biuro możemy być pani pomocni?

Telzey zawahała się. Widziała tego typu ludzi wielokrotnie, na Orado, w kręgu znajomych swojej matki – doświadczeni dyplomaci, ludzie na których niełatwo było wywrzeć jakieś wrażenie. Spokojnie można było założyć, że sprowadził ich tutaj, do swojego biura na balkonie, tylko dlatego, aby ją czymś zająć, w czasie gdy powiadamiano Halet o miejscu pobytu sprawiającego problemy dzieciaka Amberdonów i proszono ją o przybycie i zajęcie się sprawą.

To, co miała mu teraz do powiedzenia, zabrzmiałoby dosyć szaleńczo, nawet gdyby sprawa ta została przedstawiona przez wyglądającego na odpowiedzialnego, dorosłego człowieka. Mogła, co prawda, przedstawić dowody, ale dopóki Moderator nie będzie niemalże przekonany do jej historii, zaprezentowanie ich byłoby bardzo niebezpieczną rzeczą. Stary Żelazne Myśli, mógł ją tutaj wesprzeć, ale jeśli będzie wyglądało, że jej plany nie zmierzają w stronę prawdopodobnej realizacji, może nabrać ochoty na spuszczenie ze smyczy swego diabelskiego stada, na tak długo…

Lepiej puścić wszystko w ruch, bez żadnych dalszych wstępów, zdecydowała Telzey. Moderator musi ją uważać za zepsutego, neurotycznego dzieciaka, rozgorączkowanego grożącą mu stratą ulubionego zwierzęcia domowego. Spodziewał się, że ona natychmiast zacznie się z nim spierać o Tik-Tak.

Rozpoczęła więc:

— Czy jest pan osobiście zainteresowany w ochronie kotów grzebieniowych z gór Baluit przed wyginięciem?

Przez chwilę w jego oczach zamigotało zaskoczenie. Potem uśmiechnął się.

— Przyznaję, że tak, panno Amberdon — odparł przyjaźnie. — Z chęcią widziałbym ten gatunek przywrócony środowisku. Uważam się za niemal wyjątkowego szczęściarza, ponieważ miałem okazję upolować chociaż dwie z tych wspaniałych bestii, zanim zaraza starła je z powierzchni tej planety.

To ostatnie zdanie wydawało się w chwili obecnej niezbyt fortunnym stwierdzeniem. Telzey przeszył ostry dreszcz niepokoju, ale potem odebrała, że w umysłach pobierających znaczenie słów Moderatora z jej myśli, pojawił się tylko krótki przebłysk zainteresowania.

Odchrząknęła więc i powiedziała:

— Problem polega na tym, że one wcale nie wyginęły z powodu zarazy.

Przyjął jej słowa ze zdziwieniem, zdawał się zastanawiać, do czego to wszystko może prowadzić. Telzey zebrała całą swoją odwagę i poszła za ciosem.

— Czy chciałby pan usłyszeć, jak to się stało?

— To powinno być bardzo interesujące, panno Amberdon — stwierdził Moderator, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Ale przedtem, jeśli mi pani na chwilę wybaczy …

Na jego biurku musiał wyświetlić się jakiś sygnał, którego Telzey nie zauważyła, ponieważ wziął do ręki niewielki komunikator i powiedział:

— Tak? — Po kilku sekundach, podsumował: — To raczej dziwne, nieprawdaż?… Tak, spróbuję tego… Nie, to nie wydaje się konieczne… Tak, proszę to zrobić. Dziękuję bardzo.

Odłożył komunikator, z bardzo poważną twarzą; potem jego oczy łypnęły przez chwilę na TT, otworzył na parę cali jedną z górnych szuflad biurka i odwrócił się do Telzey.

— Tak więc, panno Amberdon — uprzejmie powiedział, — co pani przed chwilą mówiła? O tych kotach grzebieniowych…?

Telzey przełknęła ślinę. Nie słyszała rozmówcy Moderatora, ale mogła się domyśleć, o czym mogli oni mówić. Ktoś z biura zadzwonił do domu, który wynajęły, i pokojówka Halet poinformowała go, że jej ciotka, szofer i doktor Droon wyruszyli na poszukiwania Telzey i jej zwierzaka. Biuro Moderatora sprawdziło następnie numer komunikatora samochodu i próbowało dodzwonić się do niego. No i, oczywiście, nie uzyskali żadnej odpowiedzi.

Moderatorowi, biorąc pod uwagę to, co Halet przekazała mu wcześniej, musiało to wszystko złożyć się w ponurą możliwość, że ta młoda lunatyczka, z którą właśnie rozmawiał, kazała swemu w trzech czwartych dorosłemu kotu grzebieniowemu, zamordować swoją ciotkę i dwóch mężczyzn, kiedy tamci je przyłapali! Biuro miało więc powiadomić policję, aby przeprowadzić natychmiastowe poszukiwania zaginionego samochodu powietrznego.

Kiedy ktoś wpadnie na pomysł, aby szukać go na tarasie parkingowym Moderatora, tego Telzey nie mogła przewidzieć. Ale jeżeli Halet i doktor Droon zostaną wypuszczeni zanim Moderator zaakceptuje jej wersję tego co się wydarzyło, i ta dwójka doniesie o obecności dzikich kotów grzebieniowych w Port Nichay, nie będzie niemal żadnych możliwości utrzymania sytuacji pod kontrolą. Ktoś poczuje się zobowiązany do poczynienia jakichś idiotycznych ruchów, a wówczas będą mieli prawdziwy kryzys…

Dwie rzeczy mogły działać na jej korzyść. Moderator wydawał się mieć naprawdę mocne nerwy, czego zresztą należało oczekiwać od kogoś, kto upolował dwa koty grzebieniowe z Baluit. Na wpół otwarta szuflada biurka, obok niego, musiała w środku zawierać broń; najwidoczniej uznał to za dostateczny środek ostrożności na wypadek ataku TT. Nie był więc kimś, kto reagowałby w sposób panikarski. Zaś fakt, że podejrzewał Telzey o ludobójcze skłonności, powinien spowodować, że poświęci większą uwagę temu, co ona powie. Czy jej uwierzy, było już, oczywiście, zupełnie inną sprawą.

Lekko zachęcona, Telzey zaczęła mówić. Jej opowieść brzmiała jak jakaś zupełnie szalona historia, ale Moderator wysłuchał jej, sprawiając wrażenie skupionego i zainteresowanego. Kiedy opowiedziała mu już tyle, ile uważała, że będzie w stanie przyjąć na początek, stwierdził z zamyśleniem:

— A więc, one nie wyginęły… tylko się ukryły! Czy dobrze zrozumiałem? Twierdzi pani, że one to zrobiły, aby uniknąć polowań?

Telzey przygryzła wargę, marszcząc brwi, zanim odpowiedziała.

— Właśnie z tą częścią jest coś, czego nie całkiem rozumiem — przyznała. — Oczywiście, nie rozumiem również tak do końca, dlaczego pan chciał ruszyć na polowanie… dwukrotnie… na coś, co równie dobrze mogłoby upolować pana!

— No cóż, to są, ehmm, tylko statystyczne szanse — wyjaśnił Moderator. — Jeżeli ktoś ma wystarczająco wiele zaufania we własne siły, rozumie pani…

— Nie, naprawdę nie. Ale koty grzebieniowe zdaje się, że rozumiały to podobnie… przynajmniej początkowo. Były w stanie dostać mniej więcej jednego myśliwego, na jednego zastrzelonego kota. Ludzie byli najbardziej ekscytującą zwierzyną łowną, na jaką kiedykolwiek się natknęły.

— Ale potem wszystko się skończyło i ludzie zaczęli je ogłuszać przy pomocy paralizatorów, z samochodów powietrznych, do których one nie mogły się dostać, a następnie zabierać je, kiedy były bezsilne. Kiedy to potrwało trochę dłużej, zdecydowały się zniknąć z pola widzenia.

— Jednak one ciągle tu są… są ich całe tysiące! Kolejną rzeczą, której o nich nie wiedziano to fakt, że nie zamieszkiwały tylko Gór Baluit. Było wiele kotów grzebieniowych, rozproszonych wszędzie po wielkich lasach, po drugiej stronie kontynentu.

— Bardzo interesujące — skomentował Moderator. — Naprawdę, bardzo interesujące!

Rzucił wzrokiem na komunikator, a potem spojrzał ponownie na Telzey, bębniąc lekko opuszkami palców po blacie biurka.

W tej chwili, nie była w stanie absolutnie nic wyczytać z jego twarzy, ale wydawało jej się, że mocno się zastanawia. Przyjmowano powszechnie, że na Jontarou nie ma rodzimej rasy inteligentnej w sensie prawnym, a ona bardzo uważała, aby nie powiedzieć niczego, co mogłoby koty z Baluit przedstawić jako coś więcej, niż tylko wyjątkowo inteligentne zwierzęta. Następnym – raczej poważnym – pytaniem było, w jaki sposób przedstawić mu tę informację.

Jeżeli Moderator spyta ją o to, pomyślała sobie Telzey, będzie można powiedzieć, że zaczyna go nakłaniać do zaakceptowania całej historii.

— No tak — nagle stwierdził, — a jeżeli koty grzebieniowe nie wyginęły, ani nie są gatunkiem zagrożonym wyginięciem, to w oczywisty sposób Banki Życia nie mają podstaw do domagania się wydania pani pupilki. — Uśmiechnął się do niej konfidencjonalnie. — I to jest powód, dla którego pani się tutaj pojawiła, nieprawdaż?

— No cóż, nie — zaczęła wyjaśniać skonsternowana Telzey. — Ja…

— Och, ta sprawa jest absolutnie do załatwienia, panno Amberdon! Po prostu anuluję pozwolenie, które zostało w tym celu wydane. Nie musi się

pani tym dalej przejmować. — Przerwał na chwilę. — A teraz, jeszcze tylko jedno pytanie… czy wie pani może przypadkiem, gdzie obecnie znajduje się pani ciocia?

Telzey poczuła, że tonie. A więc, on nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Po prostu zwodził ją tylko, czekając na odnalezienie samochodu powietrznego.

Wzięła głęboki oddech.

— Lepiej będzie, jeśli wysłucha mnie pan do końca.

— Czyli, jest jeszcze coś więcej? — uprzejmie spytał Moderator.

— Tak. I to bardzo ważne rzeczy! Stworzenia, takie jak te, nie skryłyby się na nieokreślenie długi czas, tylko dlatego, że ktoś je ściga.

Czy na jego twarzy pojawił się błysk czegoś, poza czujnością?

— A więc, czemu miałyby to zrobić, panno Amberdon? — spytał cichym głosem.

— Gdyby nie były w stanie dopaść ludzi w samochodach powietrznych, ani się z nimi porozumieć — ponownie błysk! — mogłyby zacząć szukać miejsca, z którego ludzie przybywają. Znalezienie drogi przez cały kontynent i zlokalizowanie nas tutaj, w Port Nichay, mogło zająć im parę lat. Przypuśćmy dalej, że w końcu tego dokonały i teraz parę tysięcy z nich, siedzi wokół nas, w otaczających to miejsce parkach? Mogłyby się wdrapać po ścianach tych wieżowców równie łatwo, jak robiły to po zboczach górskich. I w końcu, przypuśćmy, że jedynym sposobem na rozwiązanie tego problemu, jaki byłyby w stanie znaleźć, jest oczyszczenie Port Nichay z istot ludzkich?

Moderator wpatrywał się w nią w milczeniu przez kilka sekund.

— Twierdzi pani — zauważył potem, — że one są istotami myślącymi… powyżej krytycznego poziomu IQ.

— No cóż — odparła Telzey, — pod względem prawnym, są one rozumne. Sprawdziłam to. Wydaje mi się, że mniej więcej tak rozumne, jak my.

— Czy byłaby pani uprzejma powiedzieć mi, skąd pani się tego dowiedziała?

— One mi powiedziały — wyjaśniła Telzey.

Znowu zamilkł, studiując jej twarz.

— Wspomniała pani, panno Amberdon, że nie były w stanie komunikować się z innymi ludźmi. To sugeruje, że jest pani ksenotelepatką…

— Jestem? — Telzey nigdy wcześniej nie słyszała tego określenia. — Jeżeli oznacza to, że potrafię powiedzieć co myślą koty, a one są w stanie powiedzieć co ja myślę, to wydaje mi się, że to właściwe słowo.

Przyjrzała mu się uważnie i zdecydowała, że niemal ma go już na haczyku. Szybko mówiła więc dalej.

— Przejrzałam obowiązujące akty prawne i poinformowałam ich, że powinny zawrzeć traktat z Federacją, który ustanowiłby ich Gatunkiem Stowarzyszonym… i to mogłoby rozwiązać wszystkie rzeczy, których

potrzebowały, bez żadnych dodatkowych kłopotów. Niektóre z nich mi uwierzyły. Zdecydowały się więc zaczekać, zanim nie porozmawiam z panem. Jeżeli pójdzie dobrze, świetnie! Jeżeli nie — poczuła, że jej głos na chwilę zadrżał — szybko zakończą sprawę na swój sposób!

Moderator zdawał się być niewzruszony.

— Co więc powinienem zrobić?

— Powiedziałam im, że skontaktuje się pan z Radą Federacji, na Orado.

— Skontaktuję się z Radą? — chłodno powtórzył. — Nie mając żadnego dowodu prawdziwości całej tej historii, poza pani słowami, panno Amberdon?

Telzey poczuła, jak przepływa przez nią szybka fala gniewu, a twarz jej bieleje.

— Dobrze — oznajmiła. — Dam panu dowód! Widzę, że jestem zmuszona zrobić to już teraz. Ale kiedy ich plany zostaną ujawnione w całości, będzie pan miał jakieś trzydzieści sekund na wykonanie właściwego ruchu. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał!

Odchrząknął.

— Ja…

— TERAZ — powiedziała Telzey.

Wzdłuż ścian balkonu, obok ozdobnych stojaków na kwiaty, na brzegach kamiennego basenu, wszędzie pojawiły się koty grzebieniowe. Było ich może ze trzydzieści. Żaden z nich nie robił fizycznie takiego wrażenia jak Żelazne Myśli, stojący najbliżej Moderatora, ale też żadnemu zbyt wiele do niego nie brakowało. Nieruchome jak skała, przerażające jak gargulce, czekały z oczyma płonącymi diabelskim podnieceniem.

— Widzi pan, to jest *ich* rada — Telzey usłyszała swoje słowa.

Twarz Moderatora także pobladła. Ale mimo wszystko był on starym myśliwym i doświadczonym dyplomatą. Powiódł nieśpiesznym spojrzeniem po otaczającym ich kręgu i spokojnie oznajmił.

— Panno Amberdon, proszę przyjąć moje najszczersze przeprosiny, za to, że w panią wątpiłem! — i sięgnął do komunikatora na biurku.

Żelazne Myśli kiwnął swoim demonicznym łbem w stronę Telzey. Przez chwilę odbierała wrażenie myślowe gwałtownego żółtego oka, które zamknęło się w aprobującym mrugnięciu.

— …otwarta linia na Orado — mówił Moderator do komunikatora. — Z Radą. I na jednej nodze! Czekają pewni bardzo ważni goście.

Biura Moderatora Planetarnego Jontarou zawrzały gorączkową i bardzo wciągającą pracą. Całe dwie godziny minęły, zanim komuś wpadło do głowy, żeby ponownie spytać Telzey, czy może wie, gdzie jest jej ciotka.

Telzey uderzyła się w czoło.

— Zupełnie o tym zapomniałam! — przyznała, wyciągając z kieszeni spodenek kluczyki od samochodu powietrznego. — Oni są tutaj, na platformie parkingowej…

Wstępne ustalenia traktatu między Federacją Ośrodka i nowym Gatunkiem Stowarzyszonym z Planety Jontarou zostały formalnie ratyfikowane dwa tygodnie później. Ceremonia miała miejsce na Jontarou, w Champagne Hall, w Shikaris' Club.

Telzey mogła śledzić to wydarzenie, tylko na odbiorniku wiadomości w swojej kabinie na statku. Ona i Halet, były bowiem już wtedy w podróży powrotnej na Orado. Telzey nie za bardzo interesowały szczegóły traktatu – odpowiadały one niemal dokładnie temu, co wyczytała w umyśle Żelaznych Myśli, jego współ-przywódców i towarzyszy, w parku. Przy pomocy szeregu maszyn tłumaczących oraz gromady ludzkich ksenotelepatów, stworzono most nad przepaścią językową dzielącą obie strony. Bardziej przyciągali jej uwagę ci ksenotelepaci.

Kiedy wyłączyła odbiornik, z sąsiedniej kabiny przywędrowała Halet.

— Ja też to oglądałam — zauważyła Halet. Uśmiechnęła się. — Miałam nadzieję, że zobaczę naszą drogą Tik-Tak.

Telzey uniosła głowę i spojrzała na nią.

— No cóż, to raczej mało prawdopodobne aby w najbliższym czasie TT pokazała się w Port Nichay — stwierdziła. — Za dobrze się teraz bawi, sprawdzając jak wygląda życie w Górach Baluit.

— Mnie też tak się wydaje — zgodziła się niepewnie Halet, siadając na fotelu-podusze. — Ale cieszę się, że obiecała przez najbliższe parę lat pozostawać z nami w kontakcie. Tęsknię za nią.

Telzey popatrzyła na ciotkę, refleksyjnie marszcząc brwi. Słowa Halet, oczywiście, zabrzmiały całkiem szczerze, w ciągu ostatnich dwóch tygodni, przeszła bowiem głęboką zmianę światopoglądu. Telzey jednak nadal miała pewne wątpliwości, co do rzeczywistej wartości przemiany człowieka, dokonanej przy pomocy środków telepatycznych. Proces uczenia się, uruchomiony w jej umyśle przez koty grzebieniowe, toczył się automatycznie przez kilka dni dłużej niż zamierzali to jej twardzi nauczyciele, a Telzey miała powody przypuszczać, że na koniec tego okresu rozwinęła dodatkowe utajone umiejętności, o których koty grzebieniowe nawet nie słyszały. Jak dotąd zdołała je zaledwie tylko nieco uporządkować, ale… na przykład… stwierdziła, że stosunkowo łatwo jest zmienić o sto osiemdziesiąt stopni co bardziej nieprzyjemne nastawienia Halet. Parę dni zabrało jej dobranie się do szkieletu osobistej symboliki ciotki, ale potem nie było to już żadnym problemem.

Była w zasadzie pewna, że jak do tej pory nie złamała żadnego prawa, chociaż sekcje biblioteki poświęcone użyciu i nadużyciu zdolności psionicznych, były tak spowite zasłoną zawiłych i gruntownie zaciemniających wszystko sformułowań – jak podejrzewała Telzey, umyślnie – że naprawdę trudno było powiedzieć, co one oznaczają. Nawet odsuwając na bok tę kwestię, istniało jeszcze szereg innych argumentów, nakazujących zachowanie dużej ostrożności.

W pierwszym rzędzie, jeśli Halet powróci na Orado w swoim obecnym stanie umysłu, Jessamine zacznie martwić się o zdrowie swojej szwagierki, nawet jeśli spowodowałoby to wytworzenie się znacznie przyjemniejszej atmosfery w ognisku domowym Amberdonów.

— Halet — spytała ją Telzey w myślach, — czy pamiętasz, jakim kompletnym śmierdzielem byłaś jeszcze do niedawna?

— Oczywiście, moja droga — odparła Halet na głos. — Nie mogę się już doczekać, kiedy będę mogła powiedzieć mojej kochanej Jessamine, jak bardzo żałuję tych niezliczonych przypadków, gdy…

— No, dobrze — mówiła dalej Telzey, werbalizując ciągle po cichu. — Wydaje mi się, że znacznie bardziej będziesz się cieszyła życiem, jeżeli ustawisz się, powiedzmy, mniej więcej w połowie drogi między swoim dawnym, paskudnym ja i tego rodzaju obrzydliwie-dobrym charakterem, jakim jesteś obecnie.

— Czemu nie, Telzey! — wykrzyknęła Halet z głupkowatą uprzejmością. — Co za zachwycający pomysł!

— A więc, spróbujmy tego — poleciła Telzey.

Przez jakieś dwadzieścia minut w kabinie panowała cisza, podczas której pieczołowicie pracowała nad przemodelowaniem po raz drugi, wielu rysów charakteru Halet. Nadal czuła w związku z tym pewne obawy, ale jeżeli będzie trzeba, prawdopodobnie zawsze może odtworzyć starą Halet, w całości.

To, powiedziała sobie, zdecydowanie jest siła, którą należy traktować z dużym respektem! Lepiej najpierw dokończyć studia prawnicze. Potem, jeśli z tamtym będzie jej nie po drodze, będzie mogła powęszyć, kto w Federacji najlepiej się nadaje do szkolenia nowicjusza, ale na poziomie geniuszu, w odpowiednim postępowaniu z psioniką.

KONIEC